

## **Michał Paluch OP: Teologia moich marzeń**

Zapraszamy do lektury wykładu mistrzowskiego! O. Michał Paluch OP wygłosił go 23 czerwca br. podczas uroczystości nadania mu przez generała Zakonu Dominikanów tytułu Mistrza Świętej Teologii. – Prawdziwie żywa teologia nigdy nie będzie dziełem jakiejś odizolowanej myślącej, gadającej, czy piszącej głowy, ale jest ona zadaniem wspólnotowym – podkreśla laureat.

### **Teologia jako „płomień rzeczy”**

Kiedy zastanawiam się nad tym, czym powinna być teologia, często wracam myślą do obrazu, który znalazłem kiedyś w jednej z książek Paula Evdokimova. Wspomina on bowiem, że św. Izaak Syryjczyk, autor żyjący w VII wieku, określał chwile, w czasie których teologiczne wywody Ojców przechodzą w modlitwy i dialog z Bogiem jako “płomień rzeczy”. I podsumowuje „To może najlepsze określenie teologii” [1].

Oczywiście, myślę, że nie było intencją autora sprowadzenie teologii do kontemplacyjnego zachwyty czy modlitwy. Myślę jednak, że słusznie chciał przez takie określenie teologii wydobyć to, co jest jej punktem dojścia, ostatecznym spełnieniem, a co zarazem powinno być papierkiem lakmusowym wszelkiej właściwie uprawianej teologii. Teologia ma odsłaniać nam „płomień rzeczy”, czyli pomagać nam w taki sposób patrzeć na otaczającą nas rzeczywistość, by okazywała się

ona krzewem gorejącym, by odsyłała nas do swego Autora i pozwalała zbliżyć się do Jego tajemnicy – nieuchwytnego – choć przecież doświadczanego przez nas jako palący – Płomienia.

Obawiam się jednak, że chwile, w czasie których mielibyśmy ochotę z entuzjazmem uznać taki opis teologii za adekwatny, są stosunkowo rzadkie. Teologia przez nas na różne sposoby uprawiana wydaje się być odległa od tego ideału. Co więcej, lubimy dzisiaj wręcz powtarzać, że po czasach wzlotu, złotej epoce XX wieku, który miał coś w swej wielkości z teologicznego rozwoju IV i V wieku, czy XIII wieku, weszliśmy teraz w fazę stagnacji i schyłku.

Trudno powiedzieć, czy te nasze narzekania i frustracje są naprawdę adekwatne. Czy świat, w którym żyjemy – *lacrimarum vallis* (dolina łez) – nie jest strukturalnie tak urządzone, że nasze doświadczenia pełni życia i spełnienia są i zawsze będą stosunkowo rzadkie? Czy jednak, jakkolwiek to doświadczenie jest ograniczone i niedoskonałe, teologia, którą dziś uprawiamy, naprawdę nie odsłania nam jednak „płomienia rzeczy”, nie pomaga uchwytować, by strawestować tu tytuł jednej z ważnych książek teologicznych XX wieku, w jaki sposób kluczem do zrozumienia świata jest tajemnica Boga? Czy mamy już dostatecznie dużo dystansu, by podsumować ostatnie dziesięciolecie rozwoju teologii? Czy my naprawdę je już poznaliśmy?

Mówię to wszystko nie po to, by przekonywać nas, że jest z pewnością tak dobrze, nawet jeśli wydaje nam się, że jest źle. W moim przekonaniu nie jesteśmy w stanie właściwie ocenić obecnej sytuacji, własnej epoki, a, co jeszcze istotniejsze, nie jest to ważnym dla nas

zadaniem. Ważnym zadaniem dla nas jest postarać się o to, by zrobić wszystko, na co nas stać, by teologia, którą staramy się wspólnie uprawiać, mogła naprawdę odsłaniać „płomień rzeczy”.

## **Teologia – zadanie wspólnotowe**

To, co chciałbym dziś przedstawić, ma więc być pomocą, by zrobić krok w takim właśnie kierunku. Naturalnie, wypada mi skoncentrować się przede wszystkim na analizie postawy teologa, tego, który jest zaproszony, by swoim słowem prowadzić nas ku „płomieniowi rzeczy”. Zanim jednak do tego przejdę, chciałbym bardzo mocno podkreślić, że nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć o tym, że prawdziwie chrześcijańska teologia jest i musi być teologią uprawianą wspólnotowo.

Oznacza to najpierw, że odbiorca ją współtworzy. Głęboka refleksja o Bogu nie może się rozwijać w świecie, w którym oczekujemy, że do głównych prawd wiary powinno się dać przekonać w zasadzie za pomocą jednego wpisu na Twitterze, choć równocześnie nikt poważny nie oczekuje, że jeden tego typu wpis mógłby pozwolić nam zrozumieć teorię względności, czy nawet mechanizmy inflacji. Co oczywiście jeszcze istotniejsze, wspólnota stwarza, by tak powiedzieć, przestrzeń pracy, artykułuje wyzwania, które podejmuje teolog w swojej twórczości. Jeśli widzimy wzlot teologii w XX wieku, to był on z pewnością odpowiedzią na pytania dotyczące miejsca Kościoła we współczesnym świecie, głęboko nurtujące wtedy całą wspólnotę wierzących. To tworzenie przestrzeni – a więc także uprawianie teologii – zaczyna się już w sposobie uczestniczenia przez nas w wykładach na salach wykładowych, sposobie, w jaki angażujemy się w pisanie prac

semestralnych czy magisteriów, w nurtujących nas teologicznych zainteresowaniach i pytaniach, które znajdują swój wyraz w sytuacjach nieformalnych, itd. itp. Jeśli nasza wspólnotowa przestrzeń życia nie będzie naznaczona pasją poszukiwania „płomienia rzeczy”, nie dziwny się, że teologia wokół nas będzie przeżywać swój uwiąd.

Mówię to wszystko jednak naturalnie nie po to, by zdjąć odpowiedzialność z tych, których nazywamy teologami, to na nich – na nas – bez wątpienia spoczywa największa odpowiedzialność za teologiczny poziom naszego życia i świadomości, ale mówię to po to, by pomóc uświadomić sobie, że to, o czym mówię, naprawdę dotyczy każdego z nas i w jakiejś mierze zależy od każdego z nas. To dlatego zresztą trzymam się od początku wyrażenia „uprawianie teologii”, ryzykując używanie wyrażenia z akademickiej nowomowy. Obraz uprawy roli jest bowiem, jak wiadomo od wieków, wyjątkowo trafny w przypadku teologii. Nie tylko dlatego, że – jak to po mistrzowsku ukazał John Henry Newman – każe nam pamiętać o organicznym wzroście kluczowych teologicznych idei i interpretacji, które z małego nasionka czasem przekształcają się w wielkie drzewa, pozostając przy tym sobą. Także i może przede wszystkim dlatego, że przypomina nam o tym, iż wzrost i rozwój teologii zależny jest od gleby – wspólnotowych okoliczności – i ostatecznie w sporym stopniu wymyka się naszej – ludzkiej – kontroli.

### **Teolog jako przewodnik w drodze ku „płomieniowi rzeczy”**

Mając to wszystko w pamięci, możemy się teraz zająć odpowiedzialnością samego teologa. Proszę pozwolić mi to zrobić w dwóch posunięciach. Pierwsze z nich będzie próbą nazwania pułapek,

które czyhają na teologa w jego pracy. Drugie będzie szkicem pozytywnym, zebraniem razem istotnych elementów właściwej postawy, które są konieczne, by teolog poprowadził nas ku „płomieniowi rzeczy”.

Twórczość teologiczną można moim zdaniem podzielić na cztery podstawowe gatunki [2] : (1) komentarze, które znajdują oczywiście swój wzór i szczyt w komentowaniu Biblii; (2) dzieła, które są wyrazem kontrowersji – pamiętajmy, że rozstrzygnięcia kolejnych soborów są wynikiem żarliwych sporów, które znajdowały wyraz w bogatej literaturze je poprzedzającej; (3) syntezy – utwory, które miały ambicję zebrać w jednej całości wszystkie najważniejsze elementy wyznawanej wiary; i wreszcie (4) dzieła, które podejmowały jakiś problem, który nie wypływał z toczącej się właśnie kontrowersji, ale wydawał się jakimś istotnym wyzwaniem dla człowieka wierzącego w danym czasie. Oczywiście, istnieją też, i jest to grupa bynajmniej niemała, takie dzieła, które pewnie należałoby przypisać więcej niż tylko jednemu z tych gatunków. Niech jednak te cztery gatunki uporządkują moją refleksję na temat pułapek, w które wpada czasem teolog.

### **Teologia jako komentarz – niedotrawione teksty**

„Teologia jako komentarz” niesie w sobie pułapkę publikowania „niedotrawionych” tekstów. Skoro chodzi o to, by przede wszystkim przedstawić swoimi słowami to, co ktoś inny napisał i wymyślił, wydaje się czasem niektórym autorom, że wystarczy po prostu zwięzłe streścić kilka książek klasyków, by warto było opublikować swój tekst. Jeśli dodamy do tego zasadę „publish or perish”, słynną, wszechobecną „punktozę”, presję instytucjonalną, by wykazywać się wciąż kolejnymi

publikacjami, oraz dynamikę funkcjonowania mediów – która ma także, niestety, wpływ na świat akademicki – a zgodnie z którą zamiast powiedzieć coś raz a dobrze, znacznie lepiej postarać się, by to samo powiedzieć w pięciu różnych miejscach na pięć rozmaitych sposobów, to zaczynamy rozumieć, gdzie musimy skończyć. Morze teologicznych tekstów zaczyna być coraz bardziej oceanem, a liczba pereł w nim zawartych wciąż pozostaje podobna, w związku z czym wyławianie ich z tej masy lanej wody staje się przedsięwzięciem coraz bardziej czasochłonnym i frustrującym.

Zrozummy się jednak dobrze: taka ocena sytuacji nie jest odrzuceniem potrzeby komentowania i streszczania dokonań innych, sam z takich tekstów wielokrotnie bardzo skorzystałem. Uważam jednak, że trzeba zabiegać, by były one zawsze dobrze przygotowane do publikacji, „dotrawione”, by nie były to jedynie notatki z przeczytanych książek, których jeszcze 50 lat temu nikt poważny by nie publikował.

### **Teologia jako owoc kontrowersji – inkluzywna strategia sporu**

„Teologia jako owoc kontrowersji” prowadzi czasem autorów w innego rodzaju pułapkę. Najłatwiej będzie mi ją przedstawić, wspominając księdza profesora Stańka, który przed laty, w czasach moich studiów, był wykładowcą patrystyki w naszym kolegium. Otóż, pamiętam, jak w czasie jednego z wykładów, ksiądz Staniek mówił nam o dwóch strategiach w podejściu do przeciwnika: strategii Tertuliana i strategii Ireneusza. Pierwsza z nich, nazwałbym ją dzisiaj ekskluzywną, polegała na tym, by przeciwnika zdyskredytować i zniszczyć. Druga, nazwałbym ją inkluzywną, polegała na próbie przekonania przeciwnika, że przedstawiana przez nas propozycja jest szersza i bardziej interesująca

niż to, co przedstawił oponent, oraz że, co więcej, zawiera w sobie drogę dla naszego przeciwnika elementy. W moim przekonaniu prawdziwie katolicki spór powinien wiązać się zawsze z przyjmowaniem Ireneuszowej, inkluzywnej strategii. Jeśli przypomnimy sobie jak rzadko św. Tomasz używał przymiotnika „głupi” i jak wyglądają jego prezentacje złożonych tematów, kiedy widzi potrzebę wprowadzenia do nich przez dłuższą historyczną refleksję, w której stara się zwykle pokazać, jak jego pozycja wyrosła z poprzedzającej dyskusji, integrując w sobie wszystkie najważniejsze aspekty, nie będziemy mieć wątpliwości, którą z tych strategii stosował sam wielki Akwinata.

Niestety, dynamika mediów wystawia także teologa dzisiaj na pokusę, by miast cierpliwego i spokojnego wypracowywania rozwiązań, które przez żmudne rozróżnianie będą oddawać każdemu aspektowi należne mu miejsce, pójść na skróty i przyciągnąć uwagę do swych prac przez siłę swej kontry i energię sprzeciwu. Zamiast zaproszenia do odkrywania „płomienia rzeczy” mamy wtedy jednak bardzo często jednostronne rozwiązania, sztuczne ognie walk, które są ze swej natury bardziej „klubowe” niż teologiczne.

I w tym wypadku wypada mi oczywiście także podkreślić, że przez to, co mówię, nie chcę kwestionować potrzeby polemiki i dyskusji, wydaje mi się jednak, że bardzo wiele zależy od jej ducha. Inkluzywna strategia gwarantuje, że nasze dyskusje nie stają się toksycznym obciążeniem intelektualnych poszukiwań.

**Teologia jako synteza – trawić dzieła mistrzów własną śliną**

„Teologia jako synteza” niesie w sobie zupełnie innego rodzaju zagrożenie. Kiedy sięgamy po współczesne czasopisma teologiczne i filozoficzne – myślę tutaj głównie o czasopismach filozoficznych sytuujących się w kręgu filozofii analitycznej – musi uderzać nas różnica w podejściu. O ile filozofowie często ukierunkowani są na pracę nad konkretnymi problemami, o tyle teologia wciąż krąży wokół dopracowywania problemów z pomocą interpretacji teologicznych jakichś określonych autorów. Nie ma więc zwykle książek o teologii jako takiej, ale są to książki o teologii św. Tomasza, Benedykta XVI, Karla Bartha, czy Karla Rahnera na określony temat. Jeśli zaś nawet w tytule takiego odniesienia nie ma, szybko przekonujemy się po spisie treści, że zwykle teologiczne badania są w taki sposób zapośredniczone.

Oczywiście, taki sposób podejścia w teologii wiąże się najpierw z inną rolą otrzymywanego słowa – Pisma – dla teologa niż dla filozofa – dla teologa jest ono przecież punktem wyjścia wszelkiej refleksji. Musimy też pamiętać o tym, że te wszystkie ważne nazwiska pojawiające się w tytułach można – i zapewne często wręcz należy – traktować jako techniczny skrót myślowy: zamiast poprzedzać tekst artykułu 50 stronami wprowadzenia do teologicznej wizji, w której Bóg jest rozumiany jako *ipsum esse subsistens*, wspominamy o św. Tomaszu, a zamiast podobnie tłumaczyć, że chodzi o sposób myślenia o Bogu, zgodnie z którym Bóg jest przede wszystkim odwieczną decyzją na rzecz zbawienia człowieka, wspominamy Karla Bartha. Teologia jest w dużo większym stopniu niż filozofia spleciona z tradycją i nie należy jej tego brać za złe. Na tym polega i ma polegać jej urok i siła.

O ile jednak sam fakt odnoszenia się do innych syntetycznych wizji wypracowanych w historii wydaje się uzasadniony, a nawet pożądanym (oszczędza nam wiele czasu), o tyle kluczową sprawą pozostaje, w jaki sposób do tych syntetycznych interpretacji z przeszłości podchodzimy. Osobiście widzę dwie pułapki na własnym podwórku, w drodze mi dziedzinie studiów nad św. Tomaszem. Spróbuje przedstawić je za pomocą dwóch obrazów.

Niektóre projekty tomistów (chciałbym podkreślić, że myślę tutaj o swoich doświadczeniach zagranicą, nie w Polsce) kojarzą mi się od lat z następującym obrazem: dobiega końca malowanie fresku, który ma być główną dekoracją apsydy kościoła. W centrum prezbiterium stoi więc wciąż jeszcze wielkie rusztowanie. Na samej górze leży dwóch malarzy, którzy są w trakcie wykonywania ostatniej części fresku. Problem polega jednak na tym, że kłócą się ze sobą zajadle i wrywają sobie nawzajem pędzel, bo nie są gotowi się zgodzić na to, czy ta ostatnia część powinna być zorientowana bardziej horyzontalnie czy wertykalnie. Każdy zaś jest przekonany o tym, że od tego, jak ta ostatnia część będzie zorientowana, zależy całość przedsięwzięcia. Równocześnie zaś, co widzi każdy wchodzący do kościoła, nie zwracają żadnej uwagi na to, że połowa rusztowania, na którym siedzą, została już w międzyczasie rozmontowana przez pracującą bardzo sprawnie ekipę. Jeśli zaś się trochę lepiej wsłuchać w to, co ta ekipa mówi, to okazuje się, że ekipa ta rozmawia głównie... po niemiecku. Jak rozumiemy, żarliwe spory interpretacyjne o detale tomistycznej wizji, często w ciągu ostatnich dwóch wieków nie pozwalały włączyć potrzebnej energii w prace nad fundamentami całości interpretacji.

Drugi problem i obraz to z kolei tego typu sposób podejścia do analizy tekstów Tomasza, w których jedynym aspektem interesującym autorów jest zrekonstruowanie biegu myśli samego Tomasza i wydobywanie wyłącznie zamierzonych przez Tomasza wewnętrznych powiązań między różnymi elementami. Czytając takie analizy, albo ich słuchając, myślę sobie czasami, że są to próby trawienia dzieł św. Tomasza za pomocą jego własnej śliny.

Zrozummy się przy tym dobrze. Nie jestem przeciw rzetelnym historycznym analizom i sam bardzo dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jak trudno czasami zrekonstruować bieg myśli Akwinaty i naprawdę „przetrawić jego dzieło jego własną śliną”, jeśli wolno mi tu pozostać przy tej nieco odważnej ilustracji. Uważam jednak, że to nie może być koniec, cel naszej pracy. Jeśli jego dzieło ma pozostać dla nas żywe, nie zostać zamienione w jakiś rodzaj teologicznego *matrixa*, to po rekonstrukcji jego analiz, jakkolwiek subtelne i zniuansowane by były, musimy mieć odwagę także trawić jego dzieła naszą własną śliną, mierzyć się z pytaniem o ich użyteczność dla nas dzisiaj, biorąc pod uwagę nasz kontekst i nasze pytania.

## **Teologia jako odpowiedź na problem – rola analogii**

„Teologia jako odpowiedź na problem”, ostatni ze wspomnianych gatunków teologicznej refleksji, niesie w sobie jeszcze inną pułapkę. Manifestuje się ona czasem w propozycjach teologów, którzy próbują dziś ukształtować teologię na wzór filozofii analitycznej. W związku z tym podchodzą do swych zadań trochę jak inżynierowie w laboratorium. Próbuje precyzyjnie zdefiniować wszystkie pojęcia,

poukładać problemy w kaskady ponumerowanych zdań, po to, by w tak sterylnych intelektualnie warunkach dojść do ostatecznie wiążących rozstrzygnięć. Oczywiście, w walce o precyzję i trosce o porządek nie tylko nie ma nic złego, ale zasługują one na najwyższą pochwałę. Problem tego typu prób polega jednak na tym, że często niosą one w sobie założenie jednoznacznego użycia języka, a wraz z tym odrzucenie analogii jako narzędzia teologa. Niestety, obawiam się – choć to oczywiście wielki temat na inną okazję – że teologii bez analogii uprawiać się po prostu nie da. I przypomina mi się obraz, którym kiedyś profesor Jerzy Szymura podsumowywał filozoficzne zmagania tego typu (oczywiście, nie chcę przedstawiać Szymury jako entuzjasty analogii, tylko jako krytyka jednoznaczności, a może raczej po prostu filozofa zanurzonego w tradycji analitycznej, który starał się być realistą co do jej możliwości). Otóż, profesor Szymura mówił, że z naszym dopracowywaniem pojęć przy rozwiązywaniu problemów jest jak z prasowaniem koszuli. Jeśli z jednej strony uda nam się wszystko doprasować bez kantów, to zazwyczaj w międzyczasie z drugiej strony już powstały zagnioty. Jeśli tak jest z filozoficznymi próbami, to nie spodziewałbym się, że inaczej może być z teologią uprawianą bez analogii.

Przedstawione przeze mnie do tej pory pułapki teologicznego myślenia nie są wbrew pozorom wyłącznie moim narzekaniem – są też zarazem formułowaniem pozytywnych postulatów pod adresem teologii, która ma być najpierw „dotrawiona”, dalej uprawiana – jeśli potrzeba polemicznie – ale w duchu inkluzywnym a nie ekskluzywnym, wreszcie skoncentrowana na strategicznie podstawowych dla nas dzisiaj zagadnieniach, „trawiona własną śliną” i otwarta na analogię. Myślę, że spełnienie tego zbioru postulatów sytuuje nas już na drodze ku

refleksji, która może pomóc nam wydobyć „płomień rzeczy”, ale bez wątpienia potrzeba jeszcze właściwej postawy serca i umysłu teologa. Spróbuję zarysować trzy jej najważniejsze aspekty.

## **Postawa teologa**

Po pierwsze, potrzeba uwierzyć w to, że Pan Bóg chce się nami posługiwać jako teologami, którzy mają prowadzić do odkrywania „płomienia rzeczy”. To coś znacznie więcej i coś głęboko innego, niż być przekonanym, że chce się zrobić kolejny stopień naukowy, czy poprzez kolejny tekst zaspokoić wymagania (potwora) instytucjonalnej punktozy/biurokracji. Podstawą do takiej wiary jest misja kanoniczna, którą otrzymujemy od kościelnej wspólnoty. Jak jednak rozumiemy, ta misja musi zostać przez nas naprawdę potraktowana na serio, usłyszana, zinterioryzowana, jako rzeczywiste i najważniejsze zadanie, którym obdarza nas Kościół, i które ma stać się dla nas priorytetem – której mamy oddać do dyspozycji wszystkie nasze siły i talenty. Nie muszę oczywiście tłumaczyć, jak ważne jest przy tym, by sama wspólnota – i odpowiedzialni za nią przełożeni – traktowali obdarzanie misją kanoniczną konkretnej osoby z odpowiednią powagą.

Po drugie, nie ma i nigdy nie będzie teologii ujawniającej „płomień rzeczy”, przynoszącej nam powiew świeżości Bożego słowa, bez gotowości teologa, by zaryzykować, wystawić się na zranienia, czy też – odwołując się raz jeszcze do mojego obrazu – trawić treści za pomocą własnej śliny, a nie wyłącznie śliny wielkich postaci z przeszłości. Ujawnianie „płomienia rzeczy” nigdy się nie uda, jeśli nie będzie rodzić

się ze zmagania, by wyartykułować „radości i nadzieje, smutki i trwogi ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących”, jak nam to przed laty pięknie podpowiadało *Gaudium et spes* (por. GS 1).

Po trzecie, teolog nie wejdzie właściwie w swoją misję bez pokornego przeświadczenia, że w swoich poszukiwaniach może się pomylić, pobłądzić, i w związku z tym, musi wciąż czujnie słuchać słowa Bożego, ale także słowa innych, pozostawać otwarty na to, że jego rozwiązania okażą się tylko prowizorką, która jest etapem w drodze do rozwiązań dojrzałych i lepszych. Tylko taka wewnętrzna elastyczność i czujność teologa stwarza szansę na to, że jego propozycje rzeczywiście wypełnią swe zadanie we wspólnotowych poszukiwaniach i nie zatrują ich ariami narcyza.

W moim przekonaniu duchowa przestrzeń wyznaczona przez te trzy elementy – wiara w misję, odwaga podejmowania ryzyka i pokora słuchania – jest właściwym punktem wyjścia dla owocnej pracy tego, który powinien prowadzić nas do odkrywania „płomienia rzeczy”. Oczywiście, nie znaczy to, że zawsze poprowadzi. Ostatecznie rzecz biorąc – nigdy o tym nie wolno nam zapomnieć – dostrzeżenie płomienia rzeczy jest i zawsze pozostanie darem Bożej łaski.

## **Konkluzja**

Nie zdecydowałem się, by mówić dzisiaj o treści teologii moich marzeń. Jest tak w jakiejś mierze dlatego, że moja książka *Dlaczego Tomasz* o tym mówi, w jakiejś mierze dlatego, że sprawa tego, co teologia ma dziś głosić, pozostaje do pewnego stopnia wciąż otwarta, a wreszcie w

jakiejś mierze także dlatego, że w moim odczuciu to, jak teologię uprawiamy, jest równie istotne i decydujące o sile jej propozycji, jak jej treść, a rzadko staje się wprost tematem naszej refleksji.

Świat, w którym dzisiaj żyjemy, niezwykle przyspieszył. Zachodzące transformacje – technologiczne, społeczne, religijne – nabrały tempa, jakiego wcześniej nie miały. Stawia to poprzeczkę teologii – jak i większości pozostałych dziedzin – na nowym poziomie. Z pewnością trzeba wyteńczyć dziś wszelkie posiadane przez nas siły, by sprostać wyzwaniom naszego czasu. Świat – tak jak zawsze – potrzebuje i będzie potrzebować słowa miłości i słowa życia. Zadaniem wszystkich, którzy otrzymują misję kanoniczną od Kościoła, jest podjąć trud, by słowo to, biorąc pod uwagę zmieniające się okoliczności i wyzwania, nieść i głosić.

Czy uda nam się sprostać temu zadaniu? Moim zdaniem istnieje szansa, że uda nam się sprostać temu zadaniu, jeśli będziemy potrafili podjąć je naprawdę razem. To znaczy tylko wtedy, o czym już wspomniałem wcześniej, jeśli będzie w nas świadomość, że prawdziwie żywa teologia nigdy nie będzie dziełem jakiejś odizolowanej myślącej, gadającej, czy piszącej głowy, że jest ona artykulacją wysiłku całej wspólnoty, by poszukiwać słowa miłości i słowa życia. Znaczy to jednak także, że potrzebujemy uczenia się tworzenia grup badawczych, think tanków, wspólnej pracy nad ważnymi projektami, pogłębiania naszych umiejętności współpracy.

Ufam, że nasza prowincja jest na drodze do takiego – bardziej wspólnotowego – modelu działania. Życzę też, by – także w dziedzinie życia intelektualnego – udało go się jak najpełniej i jak najpiękniej

wprowadzić w życie.

Dziękuję serdecznie za Waszą obecność dziś wieczorem ze mną i Waszą uwagę. Bóg zapłać!

*Michał Paluch OP*

Kraków, 23 czerwca 2023

---

Przypisy:

[1] P. Evdokimov, , przeł. ks. J. Klinger, Warszawa: IW Pax, 2003, s. 54.

[2] Pozostawiam na boku teksty magisterium i teksty liturgiczne, mimo że oczywiście *lex orandi lex credendi*.

awo